Wychodzi: *we Wtorek, Czwartek i Sobotę*

PRZEWODNIK

jako dodatek bezpłatny do Dziennika literackiego.

Dnia 18. Września. Nr. 50. Rok 1856.

* **Obrazek jarmarczny.** Przypadał jarmark w miasteczku naszej okolicy. A że tu w tych stronach jest zwyczaj wlec się na jarmark, chociaż nie ma z czem i po co, to też nie dziwota, żem się i ja ciągnął za drugiemi.

Trudno zaiste, wytłumaczyć usposobienie ludzi wszelkich stanów naszego kraju, którzy za nic w świecie nie opuszczą żadnego jarmarku w przyległem miasteczku; chłop uważa cały rok za stracony i pamięta do św. Sylwestra, jeżeli by niebył na jarmarku; ekonomowie, pisarze, panowie rządzcy, wynajdują koniecznie już swoje, już pańskie interessa i dążą konno lub bryczkami, na które zabiera się zwykle tuzin kumoszek, kmotrów, szwagrów, sąsiadów, lub z jakiegobądź tytułu znajomych. Sami panowie obywatele walą hucznо czwórką, trójką, rzadziej parą końmi; młodsi, lub szczególni amatorowie, pędzą na koniach, w butach ze sztylpami, z cygarem w ustach, dumnem okiem spoglądając mijają piesze zastępy chłopstwa, dążące do wspólnego celu, na jarmark. Drobna zagrodowa szlachta, nie podległa nikomu, a której tu podostatkiem, płynie ku miasteczku wszystkiemi drogami: pieszo, konno, wózkami i na bryczkach bez stopni.

Jarmark w miasteczku, każdy ma potrzebę coś kupić, przytem pogoda prześliczna, droga wyborna, i jakże tu nie być na jarmarku? To też każdy, kto tylko może jechać, leci wymijając drugich, aby zająć korzystniejszą pozycyę na rynku, każdy kto tylko ma nogi, rozciąga je jak najszerzej, i nie raz wyprzedza na lichych *podjezdkach* drepczących.

Kiedy jarmark w miasteczku, to zarazem i święto w całej okolicy; ludność wiejska przybrana w odświętne szaty, leje się drogami, ba i prosto przez pola jak lemingi; cichość w ten czas uroczysta w wioskach, nie słychać cepów w stodołach, nie huczy młocarnia, siekiera nie odzywa się na boru, jedne tylko gorzelnie gdzie niegdzie, obojętne na wszystko, buchają czarnym dymem z wyniosłych kominów, co dowodzi, że nie ma dla nich święta, — jarmarku!

Powiedziałem już, że większa część ludności jarmarcznej, bez istotnej potrzeby przybywa do miasta; śmiało twierdzić mogę, że trzy-czwarte tego tłumu różno-barwnego, kosmatego, mogłyby zostać w domu; ale tego nikt nie robi; każdy woli *strzelać gapy* oczyma, jak siedzieć w chacie przy uczciwej robocie. Zagadnie mnie kto: a po coześ wasan jeździł na jarmark? Ja co innego: naprzód jednak zawsze dla tego, że taki zwyczaj, powtóre, potrzebowałem wołów kupić, a po trzecie, zbierać obrazki. Nie słyszałem na całym jarmarku (a siedziałem upornie cały dzień), otóż mówię nie słyszałem, aby kto więcej i ważniejszych podał powodów przybycia do miasteczka.

Przyjechałem około dziewiątej godziny, było już mnóstwo *ranniejszych ptuszków,* tak na rynku, jak i w jednej miejskiej stajni, gdzie jednak moje koniki znalazły kawałek żłobu. Miałem przyjemność naprzód podziwiać energiczną postawę milicyanta miejskiego, który po formie tą razą ubrany, mając do pomocy dwóch stróżów w niekompletnych uniformach, zwycięzko zatykał na słupie chorągiewkę na znak jarmarku. Po dokonaniu tego obrzędu, wzięli się do innego, t. j. skutecznem usiłowaniem spędzili szewców z zajętej pozycyi, i zmusili do stawiania swoich *drążków* we wskazanem miejscu; ten sam los spotkał szanownych żydowskich piekarzy, którzy że błoto było w wyznaczonym dla nich placu, umyślili opanować trotoary pod domami, co im się zresztą udało, lubo potem ze stratą cofnąć się musieli; nakoniec wszystkie cechy rzemieślnicze przybyłe i tamtejsze, zajęły dzięki sprężystości i argumentów laskowych, właściwe stanowiska, i targ się zaczął, po którym majestatycznie przechadzali się sprawcy porządku, rozmawiając ze wszystkiemi...... żydami nie żydami.

Już godzina jedenasta, jarmark w całej swojej sile; przejdźmy się tu i owdzie, może co zobaczymy.

Oto z uliczki na niskiej bryczulce przybywa jeszcze jakiś dereszowaty jegomość, w rozpiętej lisiurce, dla pokazania widać nowej dalszej części ubioru; obok niego siedzi jejmość dobrodzika w kapeluszu, powiadają że jeszcze po swojej matce; na koziołku chłopak za furmana z fantastycznem nakryciem głowy. Rynek zawalony, przed niemi jedzie kilka chłopskich podwód, wnikając w tabory wozów i bryczek; muszą więc wolno jechać, co jejmość mocno niecierpliwi, woła więc na chłopaka:

— Marcinek! mijaj te chłopskie fury, pókiż my się za niemi będziemy wlekli!?

Marcinek posłuszny, wykłada (nie złemi zresztą konikami) w prawo, krzycząc ile mu głos pozwoli twu! twu! na boki!, gdy w tem djabli chcieli, żeby się zjawił stróż policyjny już z pałającą twarzyczką; (trudno przecież wiedzieć z jakiego uczucia) otóż stróż policyjny ze znaną laską w oburzonej postawie stawa przed bryką, zapoznawa Marcinka ze składem swojej laski i nakazuje jechać za drugiemi furami. Następuje krzyk, zamięszanie; jejmość siedząca na bryczce, wrzeszczy takim sposobem, że wybornie ją słychać na drugim końcu miasta; jegomość ockniony z zadumy, niedźwiedzim głosem dopomaga zacnej połowicy.

— Marcinek płacz, krzycz: pójdę do pana burmistrza, co ten hołysz bić się tu będzie, — wołała jejmość w kapeluszu.

— Albo on ci jeść daje, żeby cię bił — ryczał jegomość w lisiurce, — ja tobie tu łajdaku zaraz sprawię: nauczę cię po kościele gwizdać — i to mówiąc, ciężkim skokiem wypadł z bryczki. — Siedź Kasiu! idę do burmistrza; a czy to mnie pan burmistrz nie zna, żeby pozwolił mojego człowieka bić byle *łapciuchowi*?! — I posuwistym krokiem dążył w stronę gdzie stoi ratusz; tymczasem chłopak, podług rozkazu, rzewnie płaczący, stanął w rynku z ciągle krzyczącą jejmością; tłumy gapiów ich otaczały, a sprawca tego krzyku poszedł gdzieś dalej.

Czas powiedzieć, że ci państwo tak charakterystycznie powitani przy wjeździe na jarmark, dzierżawią mały folwarczek; wszyscy się na to zgadzają, że jejmość jest despotyczną panią domu i męża, i że nie raz szlachetny dzierżawca musi robić strategiczny odwrót z domu, przed parciem narzędzia, służącego czarownicom w podróży do Łysej góry. — Ale gdzież się podział gruby jegomość w lisiurce: oto po prostu nie poszedł do burmistrza, tylko w jakiejś dziurze pije; a to tak się stało:

Idąc do ratusza, całym głosem złorzeczył policyantowi:

— *Huncwot, zkąd się wziął*, poczekaj, będziesz się ty miał z pyszna, jaki to skory do bicia, co mi za pan, *miny dość a w pięty zimno.*

— A! jak się pan ma, panie Łukaszu, na kogo pan tak wymyśla? — spytał go średniego wzrostu i wieku mężczyzna, z ubrania podobny na mieszczanina.

— A, dalibóg, mówią: *góra z górą się nie zejdzie, ale człowiek z człowiekiem zawsze*, to szczera prawda, — powiada p. Łukasz i serdecznie się całują. — Wystaw sobie p. Piotrze, wjeżdżam do miasta najspokojniej, aż tu raptem żona moja wrzeszczy, Marcinek płacze, pytam czego? Kasia powiada, że policyant obił chłopaka, za to, że mijał chłopów; idę więc na skargę do p. burmistrza.

— No dobrze, ale panie Łukaszu, gdzie byłeś wten-

czas, żeś nie widział co się działo koło ciebie? — pytał dwuznacznym tonem mowy, p. Piotr.

— Ba, gdzie miałem być; siedziałem na bryce, ale żyd niósł cielę na plecach, patrzyłem więc na *juchona*, jak to mu biedactwo miełło (*) ogonem na plecach, a beczało tak zupełnie, jak katarynka.

— Cha! cha! cha! miałeś się też pan Łukasz czemu przypatrywać; ale wstąpmy do Icka na kieliszek.

Pan Łukasz trwożnie się obejrzał, czy go żonka nie śledzi, przekonawszy się, że nie, lepszej nabrał miny, przekręcił na lewe ucho czapkę, reflektując się jednak, dodał:

— Dobrze p. Piotrze, ale muszę wpród iść do burmistrza; a cobym swojej jejmości powiedział?

— No, już ja biorę to na siebie, żeby się nie gniewała, pójdziemy potem obadwa do niej i powiemy, że łotr dostał baty, albo, że dostanie dymissyę.

— Tak, tak, masz racyę panie Piotrze, że dostanie dymissyę, to się bardzo ucieszy moja żona, bo ona bardzo lubi kiedy postawi na swojem; no, to wstąpmy do Icka — i wemknęli się poczciwcy ostrożnie, po cichutku tylnemi drzwiami.

Straciwszy z oczu tych widać cechowych pijaków, zupełnie zapomniałem o nich, i mierzyłem na *bydlęcy targ*, zkąd po godzinie może wracając, wypadło mi przechodzić tuż pod oknem knajpy pana Icka; w tem słyszę wewnątrz wesołe krzyki i śpiewy, zda mi się spojrzeć w okno, widzę poczciwych naszych znajomych w tkliwych uściskach, a pan Piotr śpiewa raźno:

Kotka myszki łapała
I łóżeczko stargała.
Hej ha! hu! ha! ha! i t. d.

— Przystanąłem nieco, wysłuchałem romantycznej piosnki pana Piotra i chciałem odejść, gdy znowu p. Łukasz (już niezmiernie w dobrym humorze) swoim basowym głosem jak ryknie pijackie:

Oddaj cztery dydki,
Pójdziem do Dawidki,
Od Dawidki do Ruchelki,
Boć ona ma lepsze butelki it.d.

Niech was tu obrzydliwcy, pomyślałem sobie, plunąłem w rynsztok i szedłem dalej.

W kilka godzin później idąc rynkiem, zastałem naszą pierwszą jejmość z Marcinkiem jeszcze na rynku stojącą. Z drugiej strony rynku zbliżał się wahającym się krokiem, ale z czapką na bakier, prowadzony przez przyjaciół, szanowny jej małżonek.

Ujrzawszy go żona, zeskoczyła z bryczki:

— A niech cię... a gdzie ty tak długo siedział?

— U burmistrza, u burmistrza, pani Dobrodziejko, ozwali się przyjaciele

— Tak, tak u burmistrza, powtórzył kochany mężulko.

— A cóż z tym huncwotem?... zapytała zapyrzona żona.

— Dostał pięćdziesiąt batów, i popędził go na cztery wiatry i winkiem nas poczęstował, odpowiedzieli przyjaciele.

— Tak, tak, pięćdziesiąt batów i na cztery wiatry, powtórzył bełkotając mężulko.

— To to to, dobrze mu tak. niech wie co to zaczepiać takich ludzi jak ja..... zawołała tryumfującym głosem udobruchana szanowna pani Dobrodziejka. Straciliśmy jarmark, ale choć nienadaremnie. Przyjaciele dopomogli panu Łukaszowi wyleść na bryczkę, Marcinek nawrócił konie, i w dobrej komitywie, w wesołym humorze wracali z jarmarku państwo possesorstwo, przez całą drogę wychwalała pani possesorowa pana burmistrza i wypytywała męża; a czy dobrze kazał bić polncjanta, czy krzyczał mocno?.. i t. d. A pan Łukasz drzemięc, potakiwał

(*) Cała ta anegdota jest prawdziwa — rozumie się przecież, że charaktery osób zmienione.

* **Łowienie ryb i polowanie za pomocą światła elektrycznego.** P. Jobard w dzienniku *Emancipation* ogłosił następujący artykuł: *Cudowny połów.* Morze jest niewyczerpane i ryby w niem także..... Kiedy nie będzie już ani mięsa, ani chleba, morze będzie mogło wyżywić ziemię...... Potrzeba tylko umieć łowić ryby łatwo, prędko i obficie..... Ale nasze narzędzia do rybołóstwa są niezmiernie niedołężne, nędzne i śmiechu godne.... Czas już żeby elektryczność zastąpiła te dziecinne cacka. A to w następujący sposób:..... Spuści się na dno wody gruba kula szklanna, w której hermetycznie wprawione będą dwa węgle lampy elektrycznej i dwa druty miedziane pokryte gutaperką, komunikacje z silnym stosem elektrycznym znajdującym się na łodzi; kula z węglami i drutami umieszczoną zostanie na środku niezmiernej sieci. Za zamknięciem prądu elektrycznego, olśniewające światło zajaśnieje na dnie wody. Ryby zbiegają się w to miejsce o ćwierć mili i dalej nawet; widzimy je woltyżujące jak skowronki około tej czarodziejskiej lampy, liczymy je, i gdy się dostateczna ilość zbierze, dajemy znak podniesienia sieci; barki zbliżają się i zabierają prawdziwie cudowny połów. Z postępem udoskonalenia, nie będzie nawet potrzeba szklannego globu, dwa węgle komunikujące ze stosem będą dostatecznemi.

Tyle słów pana Jobard.

Niestety, odpowiada na to redaktor dziennika *Cosmos*, przed dwoma laty powzięliśmy tę samą myśl i wykonali ją najzupełniej tak jak ją pan Jobard opisuje, ale nam się jego cudowny połów nie udał. Na żądanie pewnego naboba angielsko-francuskiego, pana Hoppe, kazaliśmy zrobić u słynnego mechanika paryskiego, pana Dubosq, wielką kulę szklanną, jako ognisko elektryzmu, z węglami, drutami i stosem elektrycznym i czyniliśmy doświadczenie na jeziorze d'Enghein, w piękny letni wieczór. Głębia wód była wybornie oświetlona, ale rzecz dziwna, zamiast schodzić się do tego światła (co może byłoby nastąpiło, gdyby światło było nad wodą), ryby uciekały jak od ognia i aparat ten, jako zupełnie nie odpowiedni celowi, gotowi jesteśmy odstąpić każdemu, kto zechce się o tej jego nieużyteczności przekonać. Figlarz jakiś, widząc nasze niepowodzenie z rybami, zaproponował, czyby się nielepiej udało z cudownem polowaniem. Pan Hoppe znudził się zabijaniem za pomocą strzelby tysiącznych bażantów, któremi zapełnione są jego parki angielskie; miano zatem w lekkim tilbury umieścić stos i glob światła elektrycznego. Zdawało się a priori, że jadąc z tym aparatem około drzew parku, na których bażanty siadają, można będzie olśnione żywością światła i spadające z drzew ptaki, rękami zbierać w powozie; ale jakoś i to wyrachowanie omyliło.

† Kwiat barw skromnych najczęściej woń ma najsilniejszą. Ludzie prawdziwie cnotliwi przechodzą bez szumu i hałasu przez życie. Mało mówię o nich, bo ludzie cnotliwi nie dla świata pełnią dobre uczynki, lecz dla zaspokojenia wewnętrznej potrzeby duszy. Jedną z podobnych ludzi była zmarła w niedzielę *hrabina Józefowa Dzieduszycka, z domu hr. Działyńska.* Z koła familijnego życia, w którem zacnej niewieście pozostać należy, nie występowała nigdy. Była wzorem żony i matki, i pani i obywatelki, biednym i sierotom świadczyła wiele, i nie tylko nie pragnęła aby dobrym uczynkom jej dawano rozgłos w świecie, lecz przeciwnie, unikała tego usilnie. Od lat wielu dotknięta wdowieństwem zrządzenia Opatrzności, i chorobę, znosiła cierpliwie i w chrześcijańskiej pokorze. Jak skromne było jej życie, tak skromny i pogrzeb jej. Nie otaczały jej katafalku godła światowych blasków ni przyczepiano do trumny oznak pochodzenia i godności ziemskich. Ci co najbliżej jej sercu byli i dobrze ją pojęli, nie chcieli i w ostatniej przysłudze jej wyświadczonej kłamu zadawać całemu Jej życiu. Cześć jej pamięci pokój popiołom, które odwieziono do familijnego grobu, do Zarzecza.

Przyjechali do d. 14. września do Lwowa.

PP. Stan. Łodyński z Milatyna. Leon Nowicki z Kamionki. Alex. Wybranowski z Szołomyi. Józ. Piątkowski z Niedzwiedny. Anast. Kozłowski. Franc. Doliński z Krakowa. Teod. Polański. Grzeg. Zadurowicz. Aloj. Kriegshaber z Wiednia. Mat. Konopacki z Wołokorza. Wład. Winiewski z Kokutkorza. Łuk. Łukasiewicz z Kadłubiec. Stan. Skałkowski z Złoczowa. Franc. br. Schmück. Maur. Weber z Czerniowic. Kasper Ciąglewicz z Podhajec. Xaw. hr. Konarski z Dubiecka. Max. Laskowski z Lipnik. Józ. Smalewski z Sielca. Mich. Pieńczykowski z Medowic. Mat. Przysecki z Buczacza. Ant. Kuwnacki z Brodów. Ant. Karczyński z Chlibowic. Alex. Sommer z Kulikowa. Kaz. hr. Dzieduszycki z Niesłuchowa. Felix. Mołęcki z Wisłobok.

PP. Franc. Serafiński z Buska. Adolf Zakrzewski z Witkowic. Eug. Kaziołko z Kołomyi. Felix hr. Mier z Witkowa. Maur. Pajączkowski z Horodłowic. Jan Węgłowski z Cucyłowic. Józ. Sacher z Tarnowa. Edw. Radziejowski. Kwir. Orzechowski z Krakowa. Felix Borzym. Ant. Juryczyński z Przemyśla. Kaz. hr. Wodzicki z Kościk. Adam Tomanek z Stanisławowa. Hen. Wojakowski z Lipicy górnej. Felix Tyszowski z Martynowa. Wikt. Gumowski z Złoczowa. Fel. Rychalski z Jakimowa. Win. Rylski z Leszna. Kaz. Jędrzyjewicz z Czapel. Jan Nehaj z Kałusza. Mich. i Jan Mrozowiecki z Bóbrki. Ludw. Nowosielski z Zbory. Marjan Dylewski z Bojar.

Wyjechali do d. 14. września ze Lwowa.

PP. Jan Sztecher. Józ. Duniecki. Bolesł. i Wład. Kuczyńscy do Żółkwi. Hen. Ubysz do Dobrzanicy. Alex. Wybranowski do Szołomyi. Wikt. Gumowski do Złoczowa. Stan. Białobrzeski do Dziedziłowa. Fel. Mołęcki do Wisłobok. Franc. Doliński do Rzeszowa. Marc. Tarnowski do Gdyczyna. Hil. Łukasiewicz. Wład. Mniszek do Stanisławowa. Ant. Zawadzki do Rynczyk. J. Ex. hr. Schlik do Stryja.

PP. Wład. hr. Kalinowski do Brzeżan. Tad. hr. Łoś do Narola. Stan. Łodyński do Milatyna. Marc. Przysięski. Wład. Głowacki do Żółkwi. Franc. br. Schmück do Bartatowa. Eust. Hohendorf do Bara. Hen. Wiszniewski do Dobrzan.

Kurs telegrafowany z Wiednia 15. września.

Augsburg za 100 złr.	104 1/8	Pożyczka 5% . . .	83 1/2
Hamburg za 100 tal. branco	76 1/2	Akcye banku	1074
Londyn za 1 funt szterl.	10.7 1/2	Kolej północna . . .	2765
Medyolan za 300 lirów	102 7/8	Obl. ind.	77
Paryż za 300 franków	120 3/4	Nowa pożyczka z loteryą	109 1/61
Agio duk. ces.	—	Pożyczka narodowa .	85 1/16

Dzisiejszy kurs lwowski.

	Gotówką		towarem	
	złr.	kr.	złr.	kr
Dukat holenderski	4	45	4	48
Dukat cesarski	4	50	4	54
Półimperyał zł. rosyjski	8	20	8	26
Rubel papierowy	—	—	—	—
Rubel srebrny rossyjski	1	37	1	38
Talar pruski	1	30	1	32
Polski kurant i pięciozłotówka	1	11	1	12
Galicyjskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu	80	30	81	—
Galicyjskie obligacye indemizacyjne bez kuponu	76	—	76	30
5 proc. pożyczka narodowa	84	30	85	—
Śrebro	—	—	—	—

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyę: W. MANIECKI. W drukarni zakładu narodowego im Ossolińskich.